

Adam Kruczek

(Przedruk: "Nasz Dziennik"

z 20 lutego 2003 r.)

Krwawe zapusty w Berezowicy Małej w woj. tarnopolskim

Mord w Berezowicy Małej był jedną z typowych rzezi dokonanych w latach 1943-1945 przez ukraińskich nacjonalistów na ludności polskiej zamieszkującej Kresy. W napadach na poszczególne wioski liczba ofiar najczęściej szła w setki, czasami "tylko" w dziesiątki, a w pojedynczych i najczęściej zapomnianych polskich mogił na tych ziemiach nikt nie zliczy. Ostrożne szacunki wskazują, że na Wołyniu i na Podolu Ukraińcy wymordowali grubo ponad 100 tysięcy Polaków. W samej Berezowicy Małej jednej nocy z rąk bandytów Ukraińskiej Powstańczej Armii padło 131 osób, z których 30 spalono żywcem.

O Polsce za Bugiem i o martyrologii ludności kresowej w okresie PRL-u nie wolno było głośno mówić. Po 1989 roku jak grzyby po deszczu zaczęły pojawiać się stowarzyszenia kresowiaków, a w ślad za nimi ukazywać się monografie dokumentujące życie na Kresach i ukraińskie zbrodnie. Za sprawą świadków, którzy najczęściej własnym sumptem wydają swoje wspomnienia, Kresy powoli przestają być białą plamą nas mapie naszej narodowej martyrologii. W tej niejako "czarnej serii" dokumentującej zagładę polskich Kresów w latach czterdziestych ubiegłego stulecia ukazało się już wiele pozycji, m.in. książka Władysława Kubowa pt. "Polacy i Ukraińcy w Berezowicy Małej koło Zbaraża", Jana Białowąsa "Wspomnienia z Ithrowicy", Władysława Bąkowskiego "Zagłada Huty Pieniackiej" czy "Podolskie korzenie" Jana Kanasa, opisującej życie i tragiczny koniec społeczności polskiej we wsi Łozowa.

Zima na Kresach w pierwszych miesiącach 1944 r. była wyjątkowo sroga – śnieżna i mroźna. Dla miejscowej ludności był to wyczerpujący okres pracy. Cofający się przed Armią Czerwoną Niemcy organizowali na Podolu linię obrony. Do kopania okopów i zwożenia drzew na umocnienia zmuszali miejscową ludność. Mieszkańcy położonej w pobliżu historycznego Zbaraża Berezowicy Małej pracowali przy niemieckich umocnieniach codziennie, nawet w niedzielę. Władysław Kubów, jeden z niewielu żyjących do dziś berezowiczanie, pamięta pilnującego ich Niemca krzyczącego: "Weiter, weiter, schneller" i uderzającego szpicrutą po cholewie buta.

- *Pomyślałem wtedy sobie, żeby tak kiedyś nasze role zamieniły się* – wspomina pan Władysław. *I tak się stało, bo mniej więcej po roku ja pilnowałem Niemców przy kopaniu okopów w Lanzbergu, dzisiejszym Gorzowie.*

W Berezowicy, po całodziennej pracy przy zwożeniu drzewa i rozbijaniu zamrożonej ziemi, ludzie myśleli tylko o odpoczynku. Tak przeszedł we wsi karnawał i nawet w zapusty nikt nie miał ochoty na zabawę.

Tymczasem w nieodległym sąsiedztwie wsi zaczęły gromadzić się znaczne siły przybywających z Wołynia banderowców. Polaków ostrzegali przed nimi znajomi Ukraińcy, a także wysyłani na przespiegi wywiadowcy. W obawie przed UPA we wsi zorganizowano nocne posterunki i patrole, jednak tej akurat nocy berezowiczanie – po części ze zmęczenia, a po części licząc na bliskość niemieckiego wojska – zlekceważyli ten obowiązek.

Nocą, gdy zmęczeni mieszkańcy Berezowicy Małej pogrążyli się już we śnie, od północy furmankami i saniami nadciągnęli banderowcy. Było ich kilkuset. Wprawieni w rzeziach na Wołyniu podchodzili w ciszy, starając się wykorzystać element zaskoczenia.

Napad zaczęli od wymordowania mieszkańców przysiółka położonego kilometr od wsi. Zabijano bez jednego wystrzału. Piotra Szewczuka przerażano siekierami na trzy części. Wdowę Katarzynę Tomków i jej siedmioro dzieci zakłuto bagnietami. Janowi Nowakowskiemu cięciem siekiery w usta przerażano głowę. Zginął też najbliższy sąsiad Nowakowskiego – Józef "Słunka", a także jego matka i siostra. Śmierć poniosła także nieomal cała rodzina Kurylczyków, która tego akurat dnia zebrała się w komplecie, by pochować zmarłą w połogu żonę Władysława Kurylczyka. Jego 3-letniego synka Ukraińcy nabili na bagniet i wijącego się z bólu unieśli do góry, a gdy dziecko machało rękoma, śmiali się, że to polski orzeł.

Rzeź w przysiółku przeżyła tylko szwagierka Kurylczyka, którą siedem razy pchnięto bagnietem, a także przeoczona przez rizinów córeczka Nowakowskich. Oprawcom zdołał wyrwać się także Kurylczyk. W koszuli i kalesonach, po pas w śniegu dobiegł do wsi, wszczynając alarm.

- *Riżut, riżut!* - krzyczał co sił, przebiegając przez całą wieś Kurylczyk, ratując w ten sposób życie wielu mieszkańcom Berezowicy.

Jednak zanim zapani ludzie zdążyli przygotować jakąkolwiek obronę, do wsi wtargnęli Ukraińcy. Rodzina Jaworskich z bronią w ręku podjęła walkę z bandytami i dzięki temu przeżyła. Przeważnie jednak ludzie szukali ocalenia w ucieczce. Biegli do lasu, chowali się po sadach lub w obejściach ukraińskich sąsiadów. Wiele osób w popłochu schroniło się w nielicznych we wsi murowanych oborach. Części udało się ukryć w kamiennych schronach, pobudowanych wcześniej na wieść o rzeziach wołyńskich.

Nie bronione domostwa były bez trudu zdobywane przez banderowców. W umocnionym niczym twierdza spichlerzu Antoniego Kwaśnickiego Ukraińcy rozbili podwójne i zaryglo-

wane od wewnątrz drzwi. Sześciuosobową rodzinę po zamordowaniu obłożyli słomą i podpali-
li. Podobny los spotkał 30 osób, które schroniły się w murowanej oborze Mikołaja Sesiuka.
Ukraińcy najpierw wyprowadzili z niej inwentarz, a potem rozstrzelali z karabinu maszynowe-
go posadzonych pod ścianą ludzi. Choć oborę podpalono, kilku osobom udało się przeżyć.
Postrzelony Michał Budnik uciekł przez strych, zostawiając zabitą żonę i czworo dzieci. Ocalał
też Hryńko Pańczyszyn. Ukraińcy zastrzelili mu żonę i córeczkę, a jemu samemu darowali
życie, gdy odmówił po ukraińsku pacierz. Mimo postrzału w pierś przeżyła też Maria Dzygała.
Oprzytomniała w płonącej oborze i przedarła się z niemowlęciem przez ścianę ognia.

Więcej szczęścia mieli ludzie, którzy ukryli się w murowanej oborze Jana Krąpca, ojca
o. prof. Mieczysława Alberta Krąpca, słynnego filozofa i wieloletniego rektora KUL. Obora
Krąpców nie została całkiem spalona, gdyż leżała zbyt blisko budynków ukraińskich sąsia-
dów. Zresztą, sąsiad ten uratował życie Polakom, gdyż oszukał banderowców, mówiąc że
obora Krąpca była już przeszukiwana. Z ukrywających się w niej ludzi zginęła "tylko" Paulina
Ciurys, która nie wytrzymała nerwowo i wyszła na podwórze. Banderowcy zastrzelili ją, a na-
stępnie przetrzęli na pół piłą.

Ucieczką do lasu salwował się miejscowy ksiądz Jan Mądrzak. Razem z rodziną Ziół-
kowskich, u których mieszkał, uciekł do pobliskiego zagajnika. Brnąc po pas w śniegu, wydo-
stali się też z wioski bracia Władek i Bronek Kubowowie. Strzelali do nich nie tylko Ukraińcy,
lecz także stacjonujący w rejonie Turowej Góry Niemcy, na których obecność tak liczyli Pola-
cy. Braciom udało się dotrzeć do znajomych we wsi Dobrowody.

Bracia Kubowowie wrócili do Berezowicy nazajutrz rano. Powitał ich swąd spalonych
ciał i tłące się pogorzelska. Obok domu dostrzegli ojca, pochylonego nad zwęglonymi zwłó-
kami leżącymi w śniegu. Okazało się, że szukał synów...

- *Gdy szliśmy przez wieś, wszędzie widzieliśmy trupy i zgliszcza* – wspomina po latach
Władysław Kubów. – *Przed swoim domem leżał zakłuty Jan Szymków, ojciec naszego kolegi*
Tadzika. Niektóre zwłoki były tak spalone, że nie sposób było je zidentyfikować.

Władek Kubów zajrzał też do domu swego kolegi Franka Sowińskiego. Zdrętwiał na
widok leżących obok siebie zastrzelonych rodziców Franka i jego samego, w dramatycznej
pozie przewieszzonego przez okno. – *Widać kule skosiły go przy próbie ucieczki* – wnioskował
Kubów.

Tej nocy zginęło w Berezowicy Małej 131 polskich mieszkańców. Zamordowanych po-
grzebano w niezwykłym pośpiechu. Pozostali przy życiu musieli zdążyć z pochówkiem za
dnia, by nie nocować we wsi-cmentarzysku. I nie tyle chodziło o lęk przed złymi duchami, co
przed powrotem nacjonalistów ukraińskich, którzy w bestialski sposób mordowali dosłownie
każdego napotkanego Polaka.

Popalone trupy pozbierano w prześcieradła, włożono do paczek i tak pochowano – wspomina Maria Kozibroda, której udało się uciec w czasie masakry do lasu. – Ksiądz Jan Mądrzak powiedział, żeby wszystkich pochować w jednym grobie – to będzie pamiątka tych wydarzeń.

- Zbiłem dużą skrzynię i włożyłem do niej żonę i czworo dzieci – wspomina ranny i poparzony owej nocy Michał Budnik. – Nie zostali jednak pochowani. Zawieźliśmy skrzynię ze zwłokami na cmentarz i tak ją zostawiliśmy. Zbliżał się wieczór i trzeba było uciekać...

Większość berezowiczian schroniła się w Tarnopolu. Wielu miało tam rodziny i znajomych. Wkrótce zaczęło się oblężenie i zdobywanie miasta przez Sowieców.

Sowieccy żołnierze padali jak muchy, a Niemcy zmuszali Polaków do grzebania ich – opowiada Władysław Kubów. Miasto było bombardowane z samolotów, ostrzeliwane przez artylerię i czołgi. Bomba zniszczyła cały nasz dobytek: konie, krowę, sanie, worki ze zbożem i mąką, a także rower – dodaje.

Walka o Tarnopol trwała pięć tygodni. Poszczególne dzielnice przechodziły z rąk do rąk.

- Do naszej piwnicy wpadli raz zdyszani Niemcy, a za chwilę Rosjanie – opowiada Kubów. Przepędzali nas z dzielnicy do dzielnicy. Głód nieraz zaglądał nam w oczy.(...)

Władysław Białowąg
Korfantów

“Wywezty! Wywezty!” (Exodus spod Iłhowicy na Syberię)

Władze Związku Radzieckiego wprowadzały nowy porządek na okupowanych w 1939 roku wschodnich ziemiach Polski. Jedną z metod było masowe wywożenie w głąb Rosji tzw. “wrogów ludu”.

Według oświadczenia Andrzeja Wyszyńskiego (zastępcy komisarza spraw zagranicznych ZSRR) do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w 1941 roku, uwięziono i zesłano na Wschód 587.932 polskich obywateli. A według szacunków władz polskich w Londynie – wywieziono ze wschodnich terenów Polski ponad milion dwieście tysięcy osób. Z tej liczby 960

tysięcy wywieziono podczas czterech wielkich deportacji: w lutym 1940 r. – 220 tys., w kwietniu – 320 tys., w czerwcu – 240 tys., a w czerwcu 1941 r. 200 tys. Około 150 tys. zmobilizowano do Armii Czerwonej, 180 tys. wywieziono do ZSRR jako jeńców wojennych.

Deportacji nie uniknęli ani ciężko chorzy, ani starcy, ani dzieci, ani nawet niemowlęta. Zanim ludzie ci dotarli do miejsc przeznaczenia, musieli spędzić wiele tygodni podróży w towarowych wagonach, zamarzając w lutym, a ginąc w czerwcu z gorąca. Brakowało im jedzenia, picia, a dziura w podłodze wagonu zastępowała urządzenia sanitarne. Był to tylko wstęp do dalszych nieszczęść – niewolniczej pracy, nędzy, głodu, zimna, upokorzeń i chorób.

Ze wszystkich czterech deportacji najtragiczniejsza była ta pierwsza – 10 lutego 1940 r. Mróz był bardzo silny, dużo było śniegu, wywózka nastąpiła nagle, z zaskoczenia, nikt nie był na to przygotowany.

Według ustalonego z góry planu, żołnierze sowieccy w towarzystwie milicjantów lub tzw. „aktywistów” (rekrutujących się z cywilnej ludności ukraińskiej, a niekiedy żydowskiej), budzili swe ofiary w nocy lub o świcie, aresztowali całe rodziny mówiąc im przeważnie, że zostają przesiedleni na inne miejsce.

W pół godziny zmieniano całe ich życie, bo tyle czasu dawano najczęściej na spakowanie się do wyjazdu w nieznane. Przed domem czekały już konie zaprzęgnięte do sań. Te podwozy powoływane były już poprzedniego dnia wieczorem, z obowiązkiem stawienia się przed „silradą” tj. urzędem gminy. Po północy wsiadało na każdą podwoz dwóch żołnierzy sowieckich z „przewodnikiem” i podjeżdżali do każdego domu, którego mieszkańcy znajdowali się na liście ustalonej kilka tygodni wcześniej. Sporządzali ją miejscowi „komuniści” Ukraińcy przy udziale miejscowych Żydów, pod nadzorem NKWD.

Do wsi Ihrowica w pow. tarnopolskim należały cztery kolonie: Korczunek, Obręczówka, Kalinka i Chomy (zamienione tuż przed wojną na Kazimierzów).

Dla mieszkańców tych miejscowości zorganizowano pod koniec grudnia 1939 r. (lub na początku stycznia 1940 r.) mityng w Domu Ludowym w Ihrowicy. Do tej pory takie mityngi organizowane były niemalże co tydzień, wspólnie dla ludności polskiej i ukraińskiej. Ten zapowiedziano wyłącznie dla Ukraińców.

Nasz ojciec Stanisław doszedł do wniosku, że musi się za tym kryć coś niedobrego dla Polaków. Polecił więc starszym synom – Janowi i Kazimierzowi (14 i 11 lat) – aby poszli do Domu Ludowego i nasłuchiwali o czym będzie mowa. Bracia weszli na salę z dorosłymi. Przyszli tu także inni chłopcy w tym samym celu, np. dwaj synowie Kazimierza Biskupskiego. Na zebranie przyszło też kilka osób z rodzin polskich spokrewnionych z ukraińskimi, m. in. Kazimierz Błaszkiwicz.

Na mityng przyjechało z Tarnopola i Lwowa kilku Ukraińców, byli też NKWD-ziści i , oczywiście, miejscowi aktywiści ukraińscy. Jeden z przyjezdnych poinformował zebranych o celu spotkania. W wolnym tłumaczeniu brzmiało to tak: *Ukraina zachodnia została oswobodzona spod panowania Polski, polskich panów i obszarników. Naród ukraiński jest teraz wolny i nie będzie gnębiony przez polskich wyzyskiwaczy. Będzie tu teraz wolna, radziecka Ukraina. Ale choć nie będzie panów i obszarników, mieszkają tu jednak Polacy; a to nie dobrze, bo jest to element niepewny, będą wrogami pracującego ludu. Co z nimi zrobić?*

Inny prelegent wysunął wniosek, aby Polaków stąd wywieźć, nie mówiąc kiedy i gdzie. Większość Ukraińców wystąpienie i wniosek przyjęła oklaskami. Wniosek poddano głosowaniu. I właśnie ta większość podniosła do góry ręce zaciśnięte w pięść i głośno krzyczała: *Wyweźty jich! Wyweźty!* Byli wśród nich m. in. Dmytro Mulakiewicz, Teodozja Wałowska, Dmytro Mizerny.

Kilku Ukraińców sprzeciwiło się tej decyzji argumentując, że nie jest to odpowiedni czas na wywózkę i że *dobry gospodarz nawet psa nie wypędzi w taką zimę z domu*. Tłum rzucił się na przeciwników wywózki i wypchał ich za drzwi.

Bracia po powrocie do domu opowiedzieli o przebiegu zebrania i o panującej atmosferze. Opowiadał mi też o tym mityngu wspomniany wyżej Kazimierz Błaszkiwicz, zamieszkały obecnie w Złotym Stoku.

Ukraińcami głosującymi za wywiezieniem Polaków było też małżeństwo Petro i Tekla Zahaluk. Mieszkali w Chomach pod lasem, gdzie pobudowali się na ziemi zakupionej z parcelacji. Chomy to duża kolonia o luźnej zabudowie. Mieszkało tam do lutego 1940 r. 67 rodzin polskich i 80 ukraińskich¹. Na Sybir wywieziono 22 rodziny polskie i 10 ukraińskich. W sumie prawie 150 osób. Syn Zahaluków – Włodko zmarł z głodu na Sybirze.

Osadników oraz inne rodziny zamieszkujące kolonie nazywano kapitalistami, obszarnikami, a więc wyzyskiwaczami. Według doktryny sowieckiej wszyscy oni byli wrogo nastawieni do nowego społeczeństwa.

W dniu poprzedzającym wywózkę, tj. w sobotę 9 lutego wieczorem, mój szwagier Stefan Grabias zauważył, że obok budynku "silrady" gromadzi się dużo zaprzęgów konnych. Mieszkaliśmy niedaleko gminy. Szwagier wszedł do mieszkania i powiedział, że szykuje się jakaś akcja, bo tyle jest sań, a do gminy przybyło wielu sowieckich żołnierzy i obcych cywilów. Mieszkańcy Ithrowicy pytali ich co to będzie, czy jakaś wywózka, czy zabieranie majątku bogatym, ale nikt z pytanych nie odpowiedział, milczeli. Tylko jeden z przyjezdnych powiedział, że będą wywozić ludzi. Ale kogo i gdzie – nie wyjawiał.

¹ Oto przykład "prawdy" głoszonej obecnie przez Ukraińców, że w przedwojennej Polsce nie mieli oni prawa nabywania ziemi z parcelacji, ta bowiem zarezerwowana była wyłącznie dla Polaków. (Przyp. Red.).

Tego samego wieczoru zwołano do gminy "aktyw proletariacki" i przetrzymano go tam aż do północy, żeby ktoś z tych "zaufanych" nie przekazał spotkanym osobom jakichś informacji. Potem ci "zaufani" Ukraińcy rozeszli się do wyznaczonych domów i pilnowali, aby nikt z mieszkańców domu nie opuszczał albo jakichś przedmiotów nie chował. Prawdziwego celu swoich odwiedzin nie ujawniali, posługując się byle wykrętem. Po kilkunastu minutach zajeżdżały przed dom sanie, do izby wchodziło dwóch sowieckich żołnierzy z karabinami i kazali ludziom pakować się, dając im na to niewiele czasu. Zdenerwowani ludzie, wyrwani ze snu starcy i dzieci, łapali najczęściej co było pod ręką i w pośpiechu pakowali do worków. Jeśli im na to zezwolono, brali więcej odzieży zimowej i żywności, o ile mieli jakieś zapasy.

Powieziono ich wszystkich w stronę Tarnopola. Na każdych saniach znajdowała się jedna rodzina i dwóch "soldatów". Zmarznięte i przestraszone dzieci głośno płakały. Na pewno nikt z tych ludzi nie miał jeszcze w tym dniu ciepłej stawy w ustach.

Proboszcz ks. Stanisław Szczepankiewicz widząc już wieczorem co dzieje się wokół "silrady", spodziewał się jakiejś wywózki. Całą noc nie spał, a kiedy sanie z ludźmi mijaly o świcie plebanię, trzymając w ręku obraz Matki Boskiej Częstochowskiej błogosławił każdą rodzinę.

Ktoś stał we młynie przy oknie i naliczył 88 sań z kolonistami wiezionymi w stronę Tarnopola. Wywożono ich z Korczunku, Chomów, Obręczówki i Kalinki.

Wszystkich odstawiono na stację kolejową w Hłuboczku Wielkim. Tu przydzielano poszczególne rodziny do pustych towarowych wagonów z zadrutowanymi okienkami, wewnątrz których znajdowały się prymitywne prycze do spania, a w podłodze dziura do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Rozdzielaniem ludzi zajmowali się cywile. Na jeden wagon przypadało po 6-9 rodzin, tj. około 50 osób.

Po przywiezieniu kolonistów na stację krewni, sąsiedzi wywożonych i ciekawscy zaczęli gromadzić się na peronie. Od wygnańców oddzielali ich sowieccy strażnicy w wojskowych mundurach. Byli to przeważnie ci sami ludzie, którzy ich konwojowali².

W rodzinach pozostałych na miejscu zaczęto natychmiast organizować pomoc dla wywożonych, przede wszystkim żywnościową. Wypiekano na prędcie chleb, suszono suchary, pakowano różne kasze, mąkę. Za zgodą strażników dostarczano im ciepłą odzież i przedmioty, które mogły być przydatne w podróży i w nowym miejscu osiedlenia.

Z naszej rodziny znalazło się w wagonach wiele osób: Szczęchowie, Adamarczykowie, Zahalukowie. Nasz ojciec ze szwagrem Grabasem dostarczali im dwukrotnie każdego dnia żywność, ale również innym rodzinom, które tej pomocy potrzebowały.

² Były to tzw. wojska konwojowe NKWD. (Przyp. Red.).

Tej nocy wywiezieni zostali z Korczunku nasi dziadkowie, Michał i Aniela Szczęch, dwóch wujów – Jan i Franciszek oraz siostra Mamy z niemowlęciem, które urodziło się zaledwie przed ośmioma dniami.

Z wywiezionej 5-osobowej rodziny Bielawskich nikt z Sybiru nie przeżył. Z rodziny Frydlów zabrano trzy osoby: matkę, córkę Michalinę i 14-letniego syna Jana. Szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że ojciec Frydel i syn Milko byli w lesie, więc ich nie zabrano.

W czasie gdy przydzielano wygnańcom w Hłuboczku miejsca, Janek Frydel wykorzystał nieuwagę strażnika i opuścił wagon na polecenie matki, która mu powiedziała: *Staraj się synu przejść do Michała, ty jesteś za mały żebyś to przeżył*. Wyjaśniam, że Michał był starszym bratem Janka i mieszkał z żoną w Płotyczy. Na wieść o wywożeniu matki i rodzeństwa natychmiast przybył na stację kolejową i stał wraz z krewnymi i znajomymi po przeciwnej stronie wagonów.

Władysław Białowąg

Korfantów

Łut szczęścia w sytuacji beznadziei

Z wioski DOBROWODY w pow. zbaraskim wywieziono na Sybir 10 lutego 1940 r. prawie 80 osób. Zwieziono ich na stację kolejową w Zbarażu. W grupie tej znajdowało się kilkoro krewnych Wojciecha Jagielicza³. Jego brat Michał przybył do Zbaraża z pomocą żywnościową dla wywożonej rodziny i powiadomił Wojciecha, że jego żonę Marię z dzieckiem, teściów i szwagrów odstawiono na stację w Hłuboczku Wielkim.

Kiedy warunki pogodowe pozwalały Wojciech, który pracował w Zbarażu, na każdą sobotę i niedzielę przyjeżdżał do domu przygodnym środkiem lokomocji. 9 lutego termometr wskazywał -34°C . Ze względu na mróz i duży śnieg Jagielicz pozostał w swojej kwaterze w mieście. Powiadomiony o rodzinnym nieszczęściu, postanowił działać.

W niedzielę poszedł do urzędnika Rejonowego Urzędu w Zbarażu, Rosjanina Kurynego, aby mu napisał po rosyjsku prośbę o zwolnienie z transportu na Sybir żony i dziecka. Jagielicz znał Kurynnego bardzo dobrze i miał do niego zaufanie. Z napisaną przez niego prośbą poszedł do sekretarza rejonowego komitetu partyjnego tow. Czernyszenki, aby mu tę prośbę pozytywnie poparł, bo tylko sekretarze byli władni to uczynić.

³ Jego nekrolog zamieściliśmy w poprzednim numerze "Głosów Podolan". (Przyp. Red.).

W tym czasie w budynku dawnego starostwa odbywała się zamknięta narada partyjna i właśnie z tego względu stojący u wejścia strażnik Jagielicza do budynku nie wpuścił. Pan Wojciech znał budynek dobrze i postanowił dostać się do sali zebrań niepostrzeżenie, tylnymi drzwiami.

Wszedłem na salę – opowiadał pan Wojciech – wszyscy skierowali głowy w moją stronę myśląc zapewne, że zostałem wpuszczony przez wartownika. Za stołem siedział Czernyszenko i kilka innych osób. Zwróciłem się do niego mówiąc, że przyszedłem z prośbą. Czernyszenko spojrzał na mnie złowrogo, szybko do mnie podszedł, chwycił za kołnierz i wyprowadził do drugiego pomieszczenia. Tu wyjął z kabury pistolet i wsadził mi lufę do ust (tak! do moich ust!) krzyżąc, że przyszedłem podsłuchiwać o czym rozmawiają, że jestem polskim psem, i że mnie jak psa zabije... Wrzask Czernyszenki sprowadził rejonowego naczelnika Wydziału finansowego – Czyścikowa, który również uczestniczył w naradzie. Znalazł się obok nas i łapiąc Czernyszenkę za rękę, w której trzymał pistolet przystawiony do mojej głowy, powiedział: - Co ty robisz! To nasz pracownik! – Kiedy Czernyszenko opuścił pistolet, Czyścikow zwrócił się do mnie: - A ty uciekaj, i to prędko z tego budynku! –

Zbiegłem szybko po schodach, przestraszony i zdenerwowany, bo sowietom nie zależało na człowieku, a tym bardziej na Polaku; mógł mnie aresztować a nawet zastrzelić.

Czyścikow mnie znał, bo jeżdżąc jako kierowca z naczelnikiem rejonu Teodorem Recem, często bywałem w urzędzie.

Wyszedłem na ulicę, uspokoiłem się, odprężyłem i po chwili zastanowienia udałem się do mieszkania Recy. On był jeszcze na wspomnianej naradzie partyjnej, ale w domu zastałem jego żonę. Była to dobra, skromna i wyrozumiała kobieta. Wysłuchała mnie i wyczułem, że mi współczuła.

Rec wrócił niebawem do domu wprost z zebrania. Powiedział, że nie może mi pomóc, bo sprawa nie leży w jego kompetencji. Jednak podanie moje podpisał, a w rogu kartki postawił jakiś znak. Doradził mi, abym poszedł z podaniem do biura naczelnika NKWD. Podziękowałem i po południu tam poszedłem.

Naczelnik mnie poznał i zapytał o co chodzi? Przedstawiłem mu sprawę, podając jednocześnie pisemną prośbę. (Dodam, że kiedy pracowałem w warsztacie naprawczym MTS⁴, on przychodził tam kilkakrotnie obejrzeć niesprawne samochody osobowe). Moje podanie uważnie przeczytał, a potem powiedział tak: - Twoja żona jest córką kulaka, i ty też jesteś synem kulaka. Niech żona z dzieckiem jada na Sybir, ty zostaniesz, ożenisz się z ruską dziewczyną i będziesz żył. – Gdy skończył, ponownie poprosiłem go o pozytywne załatwienie mojej sprawy. W końcu zdecydował, że podanie podpisze pod warunkiem, że mu naprawię i do-

⁴ Skrót od słów: Maszyno-Traktornaja Stancija. (Przyp. Red.).

prowadzę do pełnej sprawności jeden z samochodów osobowych, jakie stały w warsztacie naprawczym.

Wstąpiła we mnie nadzieja, że zdołam uratować moje dziecko, groziła mu bowiem pewna śmierć. Obiecałem więc naprawić samochód w krótkim czasie, a naczelnik zażyczył sobie, aby to było w ciągu 14 dni.

Podziękowałem, wyszedłem na ulicę i poszedłem do domu zupełnie nieznanego mi gospodarza, tak na chybił trafił i przedstawivszy swoją sytuację prosiłem, aby mnie zawiózł sańmi (12 km) do Dobrowód. Gospodarz o nazwisku SZUBER, wczuł się w moje położenie i bez żadnych warunków wyraził zgodę. Gdy zajechaliśmy do mojego ojca, był już wieczór...

Następnego dnia udałem się z ojcem do sołtysa – Ukraińca Mikołaja Hołowatego, aby wydał mi zaświadczenie, że urodziłem się w Dobrowodach. Otrzymałem je bez zastrzeżeń. U ojca przygotowaliśmy litr spirytusu gorzelnianego, bańkę miodu i parę kilogramów słoniny. Potem pojechaliśmy do mego szwagra Stanisława w Ihrowicy.

Razem poszliśmy do tutejszego sołtysa – Ukraińca Doupoły, aby wystawił zaświadczenie, że żona moja Maria z domu Szczęch, jest mieszkanką Ihrowicy. Sołtys takiego zaświadczenia wydać nie chciał, twierdząc, że i tak nie wypuszczą jej z wagonu.

W godzinach popołudniowych pojechaliśmy ze szwagrem na stację kolejową w Hłuboczku. Transport z ludźmi stał już gotowy do odjazdu. Drzwi wagonów były zamknięte i zadrutowane, a mróz w granicach trzydziestu kilku stopni. Na stacji i na peronie znajdowali się sowieccy żołnierze.

Konie ulokował szwagier w zacisznym i mało widocznym miejscu, a ja poszedłem do naczelnika transportu.

Na pytanie z czym przychodzę, wręczyłem mu podanie. Przeczytał i rozpoczął na ten temat rozmowę. Rozmowa się przeciągała, a ja od czasu do czasu wtrącałem, że jest bardzo zimno. Powiedziałem też z rozwagą, że mam czym rozgrzać się i wyjąłem z torby spirytus. Naczelnik spojrział na mnie i widać było, że dobrze trafiłem. Podał mi aluminiowy garnek, polecił wlać do niego spirytus i powiedział, abym wypił pierwszy. Upiłem niewiele i podałem mu garnek. On kilkakrotnie łyknął spirytusu dość ostrożnie, a po kilku sekundach powiedział, że nie ma do niego zakąski. Nie namyślając się wyjąłem z torby słoniny i podałem mu. Obejrzał ją i kilkakrotnie obracając zauważył, że jest bardzo gruba. Ukroił dość spory kawałek i zaczął jeść, a po chwili dodał, że jest bardzo smaczna.

Po kolejnych minutach rozmowy sam nalał sobie spirytusu do garnka i znów upił ostrożnie kilka łyków. Po około 20 minutach poszliśmy na dworzec, gdzie wywołał naczelnika stacji i oznajmił mu, że mam sprawę załatwioną formalnie, podanie podpisane jest przez właściwe osoby, które wyrażają zgodę na uwolnienie mojej żony z dzieckiem. Weszli obaj do biu-

ra, a mnie polecili poczekać na korytarzu. Ich rozmowa w biurze trwała długo, około pół godziny.

Potem stojącemu przed biurem wartownikowi rozkazał, aby poszedł ze mną do pociągu poszukać mojej żony i dziecka. Strażnik powiedział mi, abym szukał sam, a on zmarznięty stanął przy pierwszym wagonie, kryjąc się przed wiatrem.

Chodząc od wagonu do wagonu stukalem w każdy z nich i pytałem głośno, czy znajduje się w nim Maria Jagielicz. Stukałem do wielu wagonów, ale odpowiedzi nie było żadnej.

Przy wejściu na stację stał zniecierpliwiony i zmarznięty szwagier. Dopiero on mi wskazał, w którym wagonie może znajdować się moja żona. Orientował się lepiej, ponieważ kilka razy dostarczał im żywności. I faktycznie we wskazanym wagonie, po silnym ponownym stukaniu i wołaniu odezwał się jeden ze szwagrów, Janek lub Franek, że oni tam są.

Odkręciłem druty, otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Wagon był pełen ludzi. Powstał krzyk, niemal wszyscy wołali abym ich ratowałem. Teściowie zaczęli płakać i prosić: Wojtek! ratuj nas, bo zginiemy, zamarzniemy! – Mówiłem im, że na razie udało mi się uratować żonę i dziecko, a teraz będę próbował uwolnić ich. – Wiedziałem doskonale, że nie będę w stanie im pomóc, ale musiałem pocieszyć.

Żona z dzieckiem umieszczona została na pryczy przy ścianie wagonu. Była tak zmarznięta i zaskoczona moją obecnością, że nie była w stanie mówić, trzęsła się tylko z zimna. Wagon był nieszczelny, w ścianach były dziury.

Wszedłem na pryczę, aby zabrać dziecko otulone jakimś grubszym okryciem. Ale coś się stało i nie mogłem dziecka podnieść. Okazało się, że okrycie po prostu przymarzło do ściany. Oderwałem je, pożegnałem się z teściami, szwagrami i wyszliśmy z żoną z wagonu. Wsiadliśmy na sanie i pojechaliśmy szybko do domu Chabinów w Hluboczku.

Państwo Chabinowie byli nauczycielami w Ithrowicy i mego szwagra Stanisława bardzo dobrze znali; pracowali razem społecznie dla dobra wsi, mogliśmy więc śmiało do nich zajechać. Pani Chabinowa zajęła się zaraz malutką Halą, wykapała niemowlę, wyprała pieluszki i inne łaszki dziecka. Rano, ciepło ubrani, dobrze otuleni przed zimnem i wiatrem, powróciliśmy do Ithrowicy, do domu szwagra Stanisława.

Tyle wspomnień śp. Wojciecha Jagielicza, jakie przekazał mi parę lat temu, a ja je skrupulatnie zanotowałem.

Od siebie dodam, że w obawie przed niechybną śmiercią w tych warunkach, niemowlę Jagieliczów postanowiono ochrzcić w wagonie święconą wodą. Chrzestnymi dziecka byli Maria Tracz z Korczunku i Jan - brat mojej żony. Oboje przeżyli Sybir. Maria Tracz osiedliła się po wojnie w Anglii, Jan Szczęch był żołnierzem Armii Andersa, walczył pod Monte Cassino, ożenił się z Włoszką i po paru latach wyemigrowali oboje do Argentyny.

Irena Kotowicz

Warszawa

Krwawe kalendarium wydarzeń w BARYSZU⁵ (pow. Buczacz, woj. tarnopolskie)

Na obszarze powiatu buczackiego mieszkało (wg stanu na 1.09.1939 r.) 150,4 tys. ludności, w tym: 50% ludności polskiej, 40% - ukraińskiej i 10% żydowskiej. Był to jeden z najbardziej polskich powiatów pod względem zaludnienia i zabytków historycznych w woj. tarnopolskim.

W okresie dwóch okupacji sowiecko-ukraińskich i okupacji niemieckiej (lata 1939-1945), pow. Buczacz został całkowicie "oczyszczony" z elementu polskiego.

Około 10.000 Żydów polskich wymordowali tu hitlerowcy wspólnie z ukraińską policją oraz bojówkami OUN i UPA

Oprócz ludności wiejskiej zginęło na terenie pow. buczackiego także wiele inteligencji polskiej – księży, nauczycieli oraz ludzi innych profesji.

Ubytek ponad 7.000 Polaków – to rezultat aresztowań i zabójstw dokonanych przez obu okupantów, z czego prawie połowa przypada na bojówki OUN i UPA oraz współdziałającą z nimi policję ukraińską.

Pierwsze zabójstwa Polaków w tym powiecie rozpoczęli bojówkarze OUN już we wrześniu 1939 r. Następnie bojówki OUN, potem UPA, kontynuowały to swoje "swiate dilo" w skali większej i okrutniejszej, a zakończyły w roku 1946 całkowitym wygnaniem Polaków z rodzinnych siedzib, zagrabiwszy ich własność: domy mieszkalne, budynki państwowe i użyteczności publicznej wraz z wyposażeniem, gospodarstwa rolników i inwentarz, zabytki kultury oraz wszystkie inne dobra, których nie mogli ze sobą zabrać, a zabrać mogli bardzo niewiele.

Ponad połowa zamordowanych tu Polaków nie posiadała do 1990 roku grobów oznaczonych bodaj symbolem krzyża czy nazwiskiem.

BARYSZ – to duża wieś w powiecie buczackim, odległa od miasta około 9 km w kierunku zachodnim. Była siedzibą parafii rzym.-kat. i gminy, w centrum wsi znajdował się ko-

⁵ Przedstawione w oparciu o relacje świadków zamieszczone w czasopiśmie "Na Rubieży" oraz publikacje ks. bp Urbana, ks. J. Anczarskiego, Cz. Blicharskiego.

ściół, cerkiew, szkoła, Dom Ludowy i poczta, a podczas okupacji niemieckiej także posterunek ukraińskiej policji.

Według stanu na dzień 1 września 1939 r. Barysz posiadał niemal 7.000 mieszkańców: 60% Polaków, 30% Ukraińców (400 rodzin) i 30 rodzin żydowskich (ok. 100 osób).

Żydów zabrała policja ukraińska w początkach 1942 r. do getta w Buczaczu, gdzie prawie wszyscy zostali zamordowani lub uśmierceni w niemieckich obozach zagłady.

Najdłuższa ulica Barysza, zwana "Mazury", posiadała 4 km długości i zamieszkała była wyłącznie przez Polaków.

Proboszczem parafii był ks. dziekan Jan Dziuban, a wikariuszem ks. Adam Dziedzic, a po nim ks. Józef Mróz. Kiedy banderowcy wydali na ks. Dziedzica wyrok śmierci, uprzedził go o tym życzliwy Ukrainiec, a inny wywiózł go w połowie 1943 r. ukrytego na furmance na stację kolejową w Monasterzyskach, skąd wyjechał do centralnej Polski.

Ks. prob. Jan Dziuban został śmiertelnie postrzelony przez okno we własnym pokoju na plebanii, w Wielką Sobotę 12 marca 1944 r. w czasie walk frontowych sowiecko-niemieckich. Mimo pomocy medycznej, zmarł po dwóch dniach; pogrzebany został w Baryszu.

W latach 1942-1944 stacjonowało w okolicznych lasach wojsko niemieckie, w związku z czym bandy ukraińskich nacjonalistów nie dokonywały w tych stronach większych napadów na polskie wsie, ale do bestialskich mordów pojedynczych, szczególnie mężczyzn, dochodziło często. Kobietom i dzieciom darowali na razie życie w tym czasie. Ale już w początkach 1944 r. mordy zaczęły się nasilać i pojawiać zaczęły się napady na samotne, oddalone od centrum wsi zagrody.

Po tych ogólnych wyjaśnieniach przechodzę do ujętych chronologicznie szczegółów tragicznych wydarzeń w Baryszu.

Czerwiec-lipiec 1939 r. Zginął Józef Kowcz. Jego zabójcą był Stepan Dżuhtej.

Wrzesień 1939 r. W kolonii należącej do Barysza, na granicy ze wsią Zubrzec zdążającą rowerem w kierunku granicy rumuńskiej polski policjant zatrzymał się, aby napić wody ze studni w gospodarstwie Ukraińca. Został przez gospodarza i jego zięcia zamordowany.

Czerwiec 1941 r. Podczas wycofywania się wojsk sowieckich przed Niemcami, bojówkarze OUN zamordowali 11 ludzi: 6 Polaków, 3 Ukraińców i 2 Żydów. Wszyscy zostali zarżnięci w nocy we własnych domach. W mordzie tym brali udział miejscowi Ukraińcy: Stepan Dżuhtej, Wasyl Kasperuk, Mychajło Kałyniuk i Mychajło Krywiński.

W lipcu 1941 r. Zwołano w Baryszu wielki wiec Ukraińców – miejscowych i sąsiednich wsi, na którym ogłoszono powstanie "Samostijnej Ukrajiny". Przemawiali następujący działacze: W. Zazulak ksiądz grekokat., P. Gajda, adw. Biziak i kier. szkoły Stachiw. Padły wówczas z trybuny słowa podburzające Ukraińców przeciw ludności polskiej.

Od tego czasu nastąpiły aresztowania i liczne morderstwa Polaków. Uczestniczyli w nich, w okresie 1939-1945, ukraińscy bojówkarze z OUN, później UPA i ukraińscy policjanci.

Ponieważ dokonane zbrodnie uszły im bezkarnie, należy nazwiska morderców (podane przez rodziny ofiar) wymienić. Tym bardziej, że większość z nich ukryła się za granicą – w Argentynie, Brazylii, Kanadzie i Anglii, a niektórzy urządzili się w Polsce na dokumentach swoich ofiar, jako rzekomi Polacy-“repatrianci zza Bugu”. Pewne osoby zostały już rozpoznane, ale inne mogą nadal się ukrywać, trudne do poznania po 60 latach.

Nazwiska szczególnie zwyrodniałych morderców z Barysza i jego okolic.

| | | |
|---------------------------------|---------------------------------|-----------|
| Mychajło Biłous | Mychajło Kałyniuk | |
| Mychajło Bodnar | Mychajło Kozak | |
| Wasył Boruszeńko | Mychajło Klocko | |
| N. Bojko | Mychajło Krywiński | |
| dwaj bracia Bilak | Mychajło “Likier” (przez wisko) | |
| Mykoła Błuhaj | Izydor, Pawło i Wasył Łukowś- | kij |
| Mychajło Buda | Stepan Łuczka | |
| Wasył i Mychajło Czeremszynskij | Izydor Łochowski | |
| Stepan, Pawło i Pyłyp Dżuhlej | N. Kaznowskij (z Gajów Nagó- | rzańskich |
| Mychajło Flutyk | Iwan Melnyk | |
| Władysław Futej | Mykoła i Iwan Nagórzańskij | |
| Pawło Gajda s. Ilka | N. Orłyk | |
| Pawło Gajda s. Petra (“Punia”) | Ołeksza Parasiuk | |
| Petro Gut | Petro Rutko | |
| N. Gazenckij (zięc Nagurzań- | Stepan Sasak | |
| skiego) | | |
| Julek (Ewhen) Haluk | N. Tarmij | |
| N. Hatkowycz | Mychajło, Mykoła i Stepan | |
| Stepan Jasiniskij | Tańczuk (wszyscy trzej o przez | |
| Wasył Kasperuk (“Cieban”) | zwisku “Bryngile”) | |

Lipiec 1941 r. Banderowcy okrążyli przy studni Chmielewskiego (przy ul. Ormiańskiej) 10. sowieckich żołnierzy-rozbitków. Wobec zaskoczenia i przewagi wszyscy żołnierze ponieśli śmierć, ponieważ rannych dobito nożami. Zginęło także dwóch banderowców: Mychajło Chmurnyj i N. Rosa.

20 lipca 1941 r. 10-ciu Polaków zostało zabranych przez ukraińskich policjantów na posterunek, gdzie ich przez dwa dni przesłuchiwali i torturowali. Następnie przekazali gestapo.

Lipiec-sierpień 1941 r. Bojówkarze OUN zamordowali kolejnych 10. Polaków, mieszkańców Barysza. Był wśród nich nauczyciel – Stanisław Czoper. Zginął też Ukraińiec – Ołeksza Kotyniuk, za otwarte potępienie zbrodni banderowskich.

5 sierpnia 1941 r. Aresztowani 20 lipca Polacy i przekazani przez ukraińską policję gestapo, zostali rozstrzelani w grupie 60 innych więźniów, w której byli również Żydzi. Znane są nazwiska rozstrzelanych wówczas Polaków z Barysza⁶.

Przy kopaniu mogił dla rozstrzelanych więźniów pracowało 4 Żydów i Polak Józef Grycan. Tych pierwszych po zasypaniu mogił zastrzelono, a Polaka zabrano z podwodą do wozu ukraińskich policjantów. Grycanowi udało się zbiec.

Polaków rozstrzelali ukraińscy policjanci w asyście dwóch gestapowców. Kilku więźniów po odczytaniu wyroków podjęło próbę ucieczki. Dosięły ich kule oprawców poza Stanisławem Jezierskim, który ocalał jako drugi świadek tej zbrodni.

Listopad 1942 r. Banderowcy zamordowali Stanisława Niedziałkę, który pochodził z Wołynia, a osiedlił się w Baryszu.

Ponadto na drodze ze stacji kolejowej do wsi zatrzymali N. Jaworskiego i zamordowali go na łące nożami.

Marzec 1943 r. Zamordowani zostali przez banderowców Franciszek i Marian Kozdrowscy.

Grudzień 1943 r. Banderowcy otoczyli razem z policją ukraińską zagrodę Stefana Kozdrowskiego, u którego przebywał ranny partyzant Antoni Stolarczuk oraz kilku innych partyzantów AK. Kiedy nikt na wezwanie do opuszczenia domu nie odpowiadał, Ukraińcy podpaliли go przy użyciu zapalających pocisków. Zdrowi partyzanci wyskoczyli przez okno i ostrzelując się, zbiegli. Zginął dobitny Stolarczuk. Podczas ucieczki schwytany został gospodarz – Stefan Kozdrowski, jego żona i córka. Policja ukraińska odstawiła ich do gestapo w Czortkowie, gdzie zostali straceni.

Tego samego dnia banderowcy zamordowali Stanisława Krocza, szwagra poszukiwanego przez nich bezskutecznie partyzanta AK Pawła Majkowskiego.

W tymże grudniu banderowcy wykryli, że w domu Chmielowskiego ukrywa się partyzant AK Józef GOGOL. Powiadomili gestapo, które Gogola ujęło razem z bratem Chmielowskiego i odstawiło do więzienia w Czortkowie. Gogol zmarł w więzieniu na skutek tortur, nikt go nie wydając. „Zaginął” też Chmielowski.

⁶ Tadeusz Kamiński, Franciszek Koprowski, Piotr Orzechowski (b. prezes SL), Piotr Sowa, Jan i Władysław Sowa (s. Stanisława), Antoni Tereńczuk, Stanisław Stec i Władysław Sowa II.

Również w grudniu 1943 r. banderowcy uprowadzili z domów: Marię Drabek – członkinie Stron. Lud. i Stanisława Drozdowskiego – kierownika szkoły powsz.⁷ Oboje wywieźli w stronę wsi Czechów, gdzie “zaginęli”.

W tym samym dniu 5. banderowców, (wśród których był Mychajło Krywiński) pojmało Józefa Kota w domu jego sąsiada i także wywieźli go do Czechowa, skąd nigdy nie wrócił.

1 stycznia 1944 r. W nocnym napadzie na dom Józefa Warchała, zamordowano jego szwagra Michała Wiśniewskiego, dokonując potwornych okaleczeń. Zwłoki zabrali ze sobą, jadąc w kierunku zagrody Czernieckich (albo Czerniawskich). Tu, pierwszą ofiarą była córka Anna – narzeczona partyzanta AK Pawła Majkowskiego. Jej rodziców i brata zastrzelono, a twarze pocięto siekierą.

Jeszcze tej samej nocy dokonali napadu na dom Macieja Warchała, któremu, jak Michałowi Wiśniewskiemu, wycięto język, genitalia i wykłuto oczy. Na szyję założyli sznur, przywiązali do sań i wlekli ciało po śniegu. Z rodziny Czernieckich (Czerniawskich) ocalały 4 osoby: 12-letnia córka Frania, zamężna córka z maleńkim dzieckiem i jej mąż Fryderyk, któremu udało się zbiec przez okno. Zwłoki wymienionych ofiar znaleziono na polu przed wsią Wierzbiatyn przykryte obornikiem. W morderstwie tych osób brali udział banderowcy: Stepan Dżuhtlej, Wasyl Czeremszynskij, Mychajło Kałyniuk, Mychajło Krywiński, Mykoła Klocko, Izidor Łachowski i kilku innych. Rozpoznała ich ocalała córka.

Pod koniec marca 1944 r. ukraińska banda ponownie napadła na polskie zagrody na skraju Barysza. Spalili kilka domów i zamordowali Mikołaja Warchała, Stefana Dębickiego, N. Poterowicza i kilku innych Polaków.

Kiedy w kwietniu 1944 r. Niemcy wycofywali się z tego rejonu i wkroczyli Sowieci, przez jakiś czas było spokojnie, bo wszędzie pełno było frontowego wojska i bandy UPA ukrywały się. Ale kiedy front przesunął się na zachód, banderowcy znów zaczęli organizować napady na polskie wsie, pałac i mordując.

5 lutego 1945 r. dotarła do Barysza wiadomość, że w sąsiedniej wsi ukraińskiej kwatruje liczna grupa uzbrojonych banderowców. Z około 90-osobowej grupy Samoobrony pozostało w Baryszu tylko kilku mężczyzn, ale oni otrzymali polecenie dołączenia do batalionu baryskiego w Buczaczu, wezwanego tam wcześniej przez komendanta Istreb. Bat. rzekomo dla obrony miasta przed bandami. Tu trzeba wyjaśnić, że dowódcą Batalionu Istreb. w Buczaczu, któremu podlegał oddział w Baryszu, był sowiecki Ukrainiec Iwanienko, którego już wcześniej podejrzewano o sprzyjanie tutaj Ukraińcom i o współpracę z UPA.

Pozostali w Baryszu mieli stawić się w Buczaczu do godz. 21-szej. Tu przedstawię relację ks. Mroza: *...chłopcy wsiadali już prawie na sanie do odjazdu, gdy nagle w górę poszły*

⁷ Ks. Anczarski podaje, że było to zaraz po wkroczeniu Niemców w 1941 r.

banderowskie rakiety, sygnalizujące rozpoczęcie palenia i mordowania. Napastnicy przyjechali konno, na wozach, przyszli też pieszo. Wielu ubranych było w białe prześcieradła, aby nie być rozpoznanym na tle śniegu. Mieli broń maszynową i automatyczną.

Część ludności schroniła się w dużym, piętrowym budynku szkolnym, część w kościele obwarowanym murem, a także w budynkach krytych blachą. ...Pozostali w Baryszu członkowie Samoobrony i inni mężczyźni przygotowywali stanowiska obronne wokół plebanii, kościoła i szkoły... Po ukazaniu się rakiet, banderowcy z okrzykiem: Rizaty, pałyty Lachiw! jak wściekłe bestie rzucili się na bezbronną ludność, kobiety, starców i dzieci. Większość mężczyzn w wieku 18-55 lat została bowiem zmobilizowana i wcielona do armii. Trwała przecież jeszcze wojna...

Na wiadomość o ataku na Barysz, jaka dotarła do komendy w Buczaczu, wszyscy baryszanie chcieli natychmiast spieszyć z pomocą napadniętym. Ale dowódca zabronił im – pod groźbą rozstrzelania – oddalać się od rejonu zakwaterowania. (Dopiero kilka dni po tym napadzie i spaleniu Puźnik zarządzono pościg za banderowcami, który oczywiście nie przyniósł żadnych efektów).

Główne uderzenie skierowali napastnicy na osiedle "Mazury", które doszczętnie spalili, a napotkanych mieszkańców wymordowali, w większości nożami i siekierami. Kiedy zaczęli palić budynki od ul. Plebańskiej, spotkali już zorganizowany opór Polaków w centrum wsi. Nie udało się więc zdobyć im ani kościoła, ani szkoły, ani kilku innych budynków.

Przywołuję ponownie świadectwo ks. Mroza: ...Była to straszliwa noc. Słysząc było bez przerwy serie wystrzałów, rozpaczliwe jęki mordowanych ludzi, trzask palących się budynków, wycie psów, ryk bydła, bicie dzwonów naszego kościoła... Z sercem ściśniętym bólem patrzyłem z kilkunastoma osobami z wieży kościelnej na płonąca wieś. Ogień przenosił się szybko... Napad trwał 5 godzin. Zginęło tej nocy 135 osób. Nad ranem banderowcy opuścili wieś, zabierając własnych rannych i zabitych... udałem się na "Mazury", by udzielić ranym Sakramentów św. i porozmawiać z ocalałymi... Po napadzie przerażona ludność polska uciekła z Barysza do Buczacza. Dopiero na drugi lub trzeci dzień przybyli członkowie rodzin, by zwieźć pomordowanych do wspólnej mogiły... Z ogromnym bólem odprawiałem ten pogrzeb. Ile lęku i strasznych cierpień musieli przeżyć ci niewinni ludzie przed okrutną śmiercią...

Zakończyła się wojna, rozpoczęła tzw. "repatriacja". Ludzie, którzy jeszcze do niedawna nie myśleli opuszczać swojej ojcowizny, z nadzieją na szansę ocalenia życia zaczęli masowo decydować się na wyjazd... Niejednokrotnie całymi tygodniami, wraz ze skromnym dobytkiem, w szczerym polu, pod byle jakimi "wiatami", czekali na podstawienie wagonów i odjeżdżali... Do września 1945 r. odjechali prawie wszyscy baryszanie. Ostatnim transportem, z resztką pozostałych parafian, zabierając rzeczy kościelne i trochę ocalałego mienia, wyjecha-

łem 23 września 1945 r. ze stacji Pyszkowce na Ziemie Zachodnie... Przez długie lata nie mogłem zapomnieć ostatniej Mszy św. odprawionej wśród płaczu wiernych w parafialnym kościele, i pozostawionego tam pustego tabernakulum...

Żegnaj Baryszu ukochany,
Droższy ponad świat,
Tum się urodził, tu wychował,
Stąd wspomnienia młodych lat.

Żegnaj wiosko nasza piękna,
Coś skropiona polską krwią,
Bo my cię już opuszczamy
z bólem serca, w oku z łzą.

O, jak ciężko jest na sercu
opuszczać rodzinny próg...
Lecz musimy stąd uchodzić
by nas nie wytępił wróg!

Tę piosenkę, na melodię "Stoi lipa nad jeziorem" śpiewali ze łzami wyjeżdżający-wypędzeni Baryszanie. Słowa do niej, a właściwie wiersz składający się z 25 zwrotek, napisał anonimowy gospodarz z Barysza w 1945 r.

Pogody w sercach –
pełnych pokoju i nadziei
Świąt Wielkanocnych
z radosnym Alleluja!

życzy Drogim Podolanom

Redakcja

ALLELUJA!

Blask wschodzącego słońca rozjaśnił świat cały
A gdzieś w oddali właśnie zanikał blask zorzy.
Gdy pierwszy promień światła wytrysnął nad skały,
Przyszły, bardzo zmartwione kto im grób otworzy,

Niewiasty z Jeruzalem. Dnia trzeciego z rana.
Do grobu weszły wszystkie bez żadnego trudu.
Wonnościami namaścić chciały ciało Pana,
A stały się świadkami największego cudu.

Anioł siedział w tym miejscu gdzie złożono ciało
A gdy chciały zrozumieć co się za tym kryje,
Że się spełniło wszystko co się spełnić miało...
Anioł powiedział do nich: Pan powstał i żyje!

Niech radość wielka w każdej zamieszka dziś duszy.
Niechaj śpiew jak skowronek nad polami buja
Niech wiara w sercach wszystkie wątpliwości skruszy
I wszędzie niech radosne zabrzmie Alleluja!

Irena Sarnecka – Derkacz

Tadeusz Błażynski

Anglia

Okruchy wspomnień

(O ludziach i wydarzeniach)

Na krętych i często pozbawionych czytelnych drogowskazów ścieżkach życia przechodząc spotyka innych, być może nieznanymi wędrówców. W przeciwieństwie jednak do przysłowiowych statków, które w głębi nocy mijają się na morskich szlakach mrugając do siebie anonimowo światłami nawigacyjnymi, ludzkie spotkania mogą wpływać na różne aspekty życia, od błahych po dramatyczne. Każdy zacytować może takie przykłady z własnego doświadczenia. Warto więc czasem wyrwać się z nurtu codzienności, aby spojrzeć wstecz i ponownie przywołać do życia istotne momenty, które innym wędrówcom przydarzyły się podobnie.

Jedną z cech charakteryzujących ludzi dobrej woli jest ich dar udzielania pomocy innym – spontanicznie i bezinteresownie – w chwilach dla nich nie tylko trudnych, ale wręcz dramatycznych. Jesień 1939 r. i wiosna roku następnego były pod tym względem owocne.

Chociaż Zdzisław Traczewski był moim dobrym kolegą w Gimnazjum im. J. Słowackiego w Czortkowie i jako taki współtowarzyszem wypraw rowerowych, kajakowych i narciarskich, spotykaliśmy się jakoś zawsze na "neutralnym" gruncie i wskutek tego ani moi rodzice, ani nawet ja, jego rodziców nie znaliśmy. Ojciec Zdzicha, ppor. rez. był w latach przedwojennych wójtem we wsi Biała, a rodzina mieszkała w mieście we własnym domu nad Seretem w dzielnicy Stary Czortków.

W piątek 30 września 1939 r. Ojciec mój został aresztowany przez NKWD. Nasze mieszkanie w budynku Sądu zostało zarekwirowane, a zawartość skonfiskowana. Matka i ja znaleźliśmy się tym samym bez dachu nad głową. Pierwszą noc spędziliśmy chwilowo w mieszkaniu państwa Wróblów (jeden z dwóch wiceprezesów Ojca), nie wiedząc jednak w stanie szoku, jak zorganizować sobie życie na dłuższą metę.

Rozwiązanie przyszło samo już następnego dnia, gdy zjawił się pan Traczewski i ofiarował nam pokój z kuchnią w swoim domu. Odstąpiono nam salon z przylegającą doń kuchnią na parterze, a pp. Traczewscy przenieśli się na piętro, gdzie również znajdowała się mała kuchenka. Pan Traczewski kategorycznie odmówił przyjęcia jakiegokolwiek zapłaty.

Inne małe mieszkanko w tym samym domu zajmowało młode ukraińskie małżeństwo. Sonia pracowała w miejscowym "Masłosojuzie", a jej mąż był urzędnikiem w banku. Nasi nowi

sąsiedzi również odegrali poważną rolę w końcowych miesiącach 1939 roku. Trudne do zdobycia masło, a często też mleko, przynoszone było przez Sonię regularnie za minimalną opłatą, i dzięki temu paczki dla Ojca z bielizną, papierosami i chlebem, które po wielogodzinnych wyczekiwaniach pod więzieniem Matka wręczała strażnikom – mogły być wzbogacone dodatkowo tłuszczem. Tytoń i tutki do papierosów, które ja robiłem, dostarczane były (czasem nawet bezpłatnie) przez sklepikarza, u którego Ojciec zawsze je kupował.

Którejś, chyba listopadowej nocy, zbudziły nas krzyki, łomot przesuwanych mebli, odgłosy jakby kopania butami, i w końcu łkanie pani Traczewskiej. Po niespodziewanej, długotrwałej rewizji NKWD aresztowało również jej męża. Sonia zwiększyła dostawy nabiału, by także paczka p. Traczewskiego zawierała masło, a Matka moja zyskała “podwiezienną” towarzyszkę.

Nasi młodzi ukraińscy sąsiedzi mieli gramofon, używany regularnie wieczorem, a “koncert” nieodmiennie zaczynał się i kończył melodią “Wieczernyj dzwon”. Cisza pewnego grudniowego wieczoru była zatem niecodzienna. Nieco później pukanie do drzwi kuchni ujawniło męża Soni. *O północy, proszę pani – rzekł do Matki – złoty zostaje wycofany z obiegu. Oficjalnie można będzie wymienić na ruble tylko 50 złotych. Mogę przeszmuglować do banku i wymienić nie więcej jak 200 złotych. Jak pani widzi, chcą nas po cichu zniszczyć finansowo.*

Ta zupełnie bezinteresowna pomoc uratowała nas od katastrofy. Rubli nie mieliśmy, ponieważ każdy banknot otrzymywany jako reszta po zakupach był przez nas jak najszybciej z obrzydzeniem wydawany. Taką samą usługę oddał mąż Soni p. Traczewskiej.

Surowa zima 1939/1940 r. płynęła wolno i ponuro. Chodziłem do gimnazjum “przerobionego” na sowiecki styl, z dziewięciodniowym “tygodniem” i popołudniowymi sesjami z braku pomieszczenia. Bursa bowiem, drugi budynek naszego dawnego gimnazjum, została zarekwirowana na inne cele.

Jeszcze z początkiem października, gdy rabunek naszego mieszkania w Sądzie nie był kompletny, Matka uzyskała pozwolenie od sowieckiego prokuratora na zabranie osobistej bielizny. Ta, jak również odzież przechowywana u znajomych w obawie niemieckich nalotów, umożliwiły nam skromne bytowanie stając się środkiem wymiennym, głównie na żywność. I tak wymiana jakiejś odzieży czy bielizny na pół wieprza, czy zimowy zapas porąbanego na opał drzewa, pomogły nam w przetrwaniu najgorszego okresu zimy. W śnieżny dzień przywiozłem z Wygnanki pożyczonymi saneczkami nasz zapas wieprzowiny, przerobiony potem na wędliny przez czeladnika p. Piechowskiego, rzeźnika, u którego Matka robiła dawniej zakupy. Pracował teraz w swoim dawnym, własnym sklepie wędliniarskim w charakterze sprzedawcy, a za usługi czeladnika prosił o zapłatę w postaci... kawałka mięsa.

Wioząc swój "łup" spotkałem na moście prof. Władysława Tutka, gimnazjalnego polonistę, który zaintrygowany moim tajemniczym ładunkiem, pytał o zawartość. Ten ponury zimowy dzień rozjaśniliśmy obaj serdecznym śmiechem.

Gdzieś w lutym tejże zimy odmówiono przyjęcia paczki dla Ojca. Został wywieziony z tutejszego więzienia w "nieznanym kierunku", a wizyta Matki u prokuratora z prośbą o informację spotkała się z odmową.

Kontynuowaliśmy więc nasz "normalny" żywot aż do nieoczekiwanego momentu w marcu 1949 r. Późnym wieczorem zjawił się u nas bardzo dyskretnie dorożkarz – Żyd, który zwykle woził Ojca na dworzec albo z dworca przywoził. Nie tracąc czasu, zwrócił się do Matki: *Po ostatnim wywozie Polaków (tj. 10 lutego – red.) następny transport będzie miał miejsce wkrótce. Nie wiem kiedy, ale wiem od znajomych milicjantów, że Pani z synem jest na liście. Musi pani natychmiast wyjechać. Ja to zorganizuję, odwiedzając się mężowi pani, który zawsze traktował mnie dobrze i uprzejmie.*

Dwa dni później dorożka z podniesioną budą zatrzymała się o świcie przed domem. Dorożkarz sprawdził czy na stacji nie ma milicji, kupił nam bilety i czekał aż do odjazdu pociągu. On także odmówił przyjęcia zapłaty. Spotkany na jednej z bardziej zawiłych ścieżek życia anonimowy dorożkarz (nazwiska jego nie znałem albo nie pamiętam) zmienił kurs naszej osobistej historii, ratując od deportacji na Wschód.

Znaleźliśmy się u siostry Matki w Stryju, gdzie nikomu nie znani, przetrwaliśmy do 13 kwietnia. Nie mając już żadnej możliwości udzielenia Ojcu pomocy i biorąc pod uwagę rozpoczynającą się akcję "paszportyzacji", próba pozostania pod sowiecką okupacją byłaby nie tylko bardzo trudna, ale przede wszystkim bezcelowa. Zaczęliśmy więc myśleć o przedostaniu się do Warszawy.

"Zielona granica" nie wchodziła w grę z dwóch powodów: jeden – to oczywisty brak finansów na opłacenie przewodnika, drugi – granica była już tak szczelnie strzeżona, że szanse jej przekroczenia były nikłe.

Gdy sytuacja wydawała się już całkowicie beznadziejna, nagle zabłysnął promyk nadziei. We Lwowie miała rozpocząć urzędowanie niemiecka komisja repatriacyjna dla "wrześniowych" uchodźców. Wyjazd do Lwowa nie był problemem, ale pobyt w tym mieście byłby niemożliwy z uwagi na nasze możliwości finansowe. Rozwiązania dostarczyły niespodzianie... lata szkolne Matki w Stryju. Uczęszczała do tej samej szkoły z Rudolfem Weiglem, późniejszym wynalazcą szczepionki przeciwtyfusowej. Prof. Weigl mieszkał w maju 1940 r. w pracowni na Uniwersytecie i oddał nam klucze do swojej willi w pobliżu Panoramy Raławickiej.

Byśmy mogli stawić się przed komisją repatriacyjną jako repatrianci, jakieś dowody były niezbędne. My ich nie mieliśmy. I tu znowu przyszedł z pomocą prof. Weigl, dając adres proboszcza jednej z lwowskich parafii, który pomagał "uciekiniom" wystawiając fikcyjne do-

kumenty kościelne. I tak, zmieniając nazwisko Ojca na panieńskie nazwisko Matki – Buczowska, dostaliśmy “kopię” metryki ślubu z jej bratem mieszkającym w Warszawie.

Po bez mała dwu tygodniach codziennego wyczekiwania w kolejce od świtu do wieczora, w której rzeczywista kolejność nie grała roli bowiem wyboru dokonywał przechodzący oficer SS, na dwa dni przed zapowiedzianym zakończeniem urzędowania komisji, niemiecki palec wskazał na mnie...

Łamaną niemczyzną wyjaśniła Matka innemu oficerowi komisji, że nasze dokumenty “zagięły” we wrześniu. Z półuśmiechem spojrzął na “metrykę” i ostemplował przepustki. Ten sam dokument – po łacinie, przedstawiony sowieckiej komisji jako niezrozumiały, nie był kwestionowany.

W drugiej połowie czerwca znaleźliśmy się w Warszawie, dowiadując się, że “nowy” mąż Matki wraz z prawdziwą żoną są uchodźcami wrześniowymi w ... Rumunii!

Lata okupacji niemieckiej stworzyły oczywiście wiele innych problemów, lecz zhora wywozu do Rosji zniknęła skoro nie byliśmy już oficjalnymi “wrogami ludu”. Prawdziwe nazwisko zostało również przywrócone.

Warszawa 1940-1944 to dla mnie okres dwuletniego liceum technicznego, potem praca w niemieckiej już firmie Lilpop, Rau und Loewenstein (Mars GmbH), a w tym samym czasie służba w ZWZ i AK, Powstanie, a od 5.10.1944 niewola, obozy niemieckie w Austrii, po wojnie II Korpus we Włoszech, a od 1946 r. Anglia.

Jan Kulczycki

Gubin

Czy skończyła się era Judymów?

Dr Tadeusz Kunicki przyjechał po wojnie na Ziemię Odzyskane jako “repatriant” z Podola i osiedlił się z rodziną w Gubinie na Nysą Łużycką, podejmując trud lekarza powiatowego.

Jego żołnierska przeszłość – to udział w obronie Lwowa w 1918 r., w kampanii kijowskiej w 1920 r., w kampanii wrześniowej 1939 r. i służba w podziemiu Okręgu Lwowskiego AK ps. “Lekarz”.

Posiadał wszechstronne wykształcenie medyczne i długą praktykę w klinice lwowskiej.

Wychowany został w zasobnym domu, w swoich włościach, nad Zbruczem. W pamiętniku napisał: *Poszedłem na medycynę z zamiłowania apriorycznego do tego szlachetnego*

zawodu, którego pierwocin i pełni nieosiągalnej realizacji dopatrywałem się uparcie w cudownych, w swej prostocie i prawdzie, opowieściach ewangelicznych, przeżywając owe prawdziwe misteria wyleczenia przez Pana wielu ówczesnych nieszczęśliwych... Zapamiętałem dzień promocji doktorów (1926 rok) i słowa Kasprowiczowskiego zaklęcia wtedy powtarzane: "Młodzi lekarze, Lachy serdeczne, pomnijcie, że na tej biednej polskiej ziemi macie bliźnim osuwać łez zdroj".

Rówieśnik i przyjaciel takich osobistości w świecie medycznym, jak profesorowie: Gruca, Dega, Drews, nie wybrał kariery naukowej ale postanowił zająć się bezpośrednio leczeniem pacjentów w rodzinnej miejscowości Wasylkowce w pow. Kopyczyńce na terenie woj. tarnopolskiego.

Po przepisanych praktykach w szpitalu i klinikach – pisał - osiadłem dobrowolnie na wsi. Pierwsza doba pobytu była słotna, zimna i ponura. Nocą ktoś dobijał się nachalnie. Ubie-rałem się niecierpliwie, pełen niedospanych złości, planowałem zruganie niedelikatnego intru-za, ale moja Matka uspakajała mnie łagodnie: "pewnie mu dobrze dokuczyło, kiedy w taką pluchę przygnał do lekarza. Nie złość się na niego, bo ci wszyscy chorzy wyczekiwali na cie-bie". Uspokoilem się wówczas z mej raptownej nerwowości i łagodnie przywitałem zbolatego pacjenta. Wyrwałem mu ząb w znieczuleniu, aż chłopina poweselał, że go nic nie bolało, no i nie kosztowało.

Zazwyczaj pacjent za to, że przyszedł, otrzymywał śniadanie lub inny poczęstunek, a za to, że został zbadany dostawał lekarstwa, oczywiście raczej... bezpłatnie. Lekarstwa brał dr Kunicki na kredyt w aptece u kolegi Kazimierza Prokosza w Kopyczyńcach lub sprowadzał ze Lwowa. Następnie sprzedawał wagon zboża i regulował należności. Świadczę, bo w tych transakcjach uczestniczyłem w jego imieniu, a często osobiście je załatwiałem. Toteż dr Kunicki na brak pacjentów nie narzekał, raczej na przepracowanie – w świątek, piątek i niedzielę. Wywoływano go z kościoła, z zebrania, z wizyty, z zabawy, z przedstawienia scenicznego. Wzywany był do chorych w promieniu 20 km. Spieszył do nich bez względu na pogodę, porę dnia czy nocy, często ciemnej, a podolskie błoto jest znane. Do poszczególnych wsi dróg bi-tych nie było, a w słotne jesienie trudno było przejechać nawet pustym wozem.

W Wasylkowcach wybudował dr Kunicki w sadzie murowany pawilon, składający się z 4 izb: gabinetu przyjęć, poczekalni, apteczki i noclegowni dla przyjezdnych. W sąsiedniej wsi – Horodnicy, oddalonej o 15 km, założył Ośrodek Zdrowia, gdzie bezpłatnie przyjmował biednych pacjentów, przeprowadzał zabiegi i mniejsze operacje. Po wsiach badał dziatwę szkolną dobrowolnie, potrzebujących wysyłał do szpitala, odwiedzał chorych bez wezwania, w wielu przypadkach interweniował u lekarza powiatowego, nazywanego przed wojną na Podolu "fizykiem".

W GUBINIE (z okolicznymi wsiami, odległymi od miasta w promieniu 25 km) będąc tu po wojnie jedynym lekarzem, pełnił dr Kunicki funkcję dyrektora szpitala powiatowego, kierownika Wydziału Zdrowia, lekarza szkolnego, lekarza wojskowego (w Gubinie stacjonowała jednostka wojskowa ze stanem 5 tysięcy żołnierzy i oficerów) oraz lekarza domowego wszystkich mieszkających tam rodzin. W pracy pomagał mu szczupły osobowo, ale ofiarny personel medyczny (Karol Szymański, Włodzimierz Dubowik, Ryszard Śliwiński i inni).

W pamięci ludzi, którzy go znali, pozostał przede wszystkim jako człowiek niezwykle życzliwy, patrzący na drugiego człowieka z wielką sympatią. Nigdy nikogo nie krytykował, ani nie potępiał. Jego dewizą życiową był platońskie: *Lepiej być krzywdzonym niżli krzywdzicielem*. Hołdował w życiu trzem wartościom: dobru, pięknu i prawdzie.

Optymizm pomógł mu przetrwać niepomyślne okresy, których mu w życiu nie brakowało. W swoich nie publikowanych zapiskach autobiograficznych notował: *Miałem wiele wad, ale ostatecznie pomogły mi one w życiu. Miałem słabą pamięć, a przez to o przykrych przeżyciach, których i mnie, jak i każdemu, nie brakowało, łatwo zapominałem*.

Do roku 1956 był inwigilowany przez UB, ustawicznie wzywany, przesłuchiwany, przetrzymywany nocami, co miało związek z jego ziemiańskim pochodzeniem i stopniem oficerskim. Ci sami funkcjonariusze, którzy przyjeżdżali po niego na nocne przesłuchiwania, niejednokrotnie rano lub w godzinach popołudniowych zabierali go tym samym pojazdem do ciężko chorych dzieci lub innych członków rodziny. W takich przypadkach niejednokrotnie był odwożony do domu. Z przesłuchań nocnych wracał sam, psychicznie zdruzgotany i zaraz szedł do swoich pacjentów.

Celem nadrzędnym dr Kunickiego było niesienie autentycznie bezinteresownej pomocy lekarskiej potrzebującym wsparcia, bez względu na ich stan posiadania, narodowość czy przekonania. Zawsze pracował z niezwykłym oddaniem: jako młody absolwent Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Lwowskiego, w czasie wojen i okupacji i po wojnie, gdy na Ziemiach Odzyskanych tworzyło się nowe życie. Życzliwy, serdeczny, szanował każdego człowieka. Świadom ubóstwa swoich pacjentów, do wypisanej recepty często dołączał pieniądze na wykupienie lekarstwa. *On zawsze był taki* – mówią jego byli pacjenci, pamiętający go jeszcze z rodzinnych stron, jak i ci z Gubina i okolic.

Przemierzał rowerem dziesiątki kilometrów dróg i ulic, leczył, radził, pocieszał. Kochał ludzi. *Nie ma w tych słowach przesady* – mówi mieszkanka Gubina Maria Kulik – w 1986 roku dla lokalnej gazety. - *Trudno wyrazić dziś słowami, jaki był* – dodaje – *To Judym Gubina. Nie ma teraz takich. Nie wypada tak mówić, może ktoś się obrazić, ale On był nadzwyczaj oddany ludziom*.

Jeżeli nie było Go w przychodni, w szpitalu, w szkole, w jednostce wojskowej ani we własnym domu, to z pewnością można go było spotkać w zacisznej kaplicy Matki Boskiej

Częstochowskiej gubińskiego kościoła, gdzie modlił się o zdrowie swoich pacjentów i o moc do dalszego uzdrawiania ciężko chorych. Uważał bowiem, że bez pomocy Opatrzności jego umiejętności medyczne są niczym. On jest bowiem tylko narzędziem w ręku Boga. (...) Za każdego pacjenta, którego nie udało mu się utrzymać przy życiu zamawiał mszę św.

Serdeczność w stosunku do ludzi, szacunek jakim darzył wraz z pokrzepiającym uśmiechem, towarzyszyły dr Kunickiemu przez całe życie. Okazuje się, że leczyć można nie tylko lekarstwami, ale i własną osobowością.

Dzisiejszym lekarzom komunikuję: pacjent, który pojawiał się u dra Kunickiego z najmniejszą nawet dolegliwością, regularnie był odwiedzany przez leczącego aż do całkowitego wyzdrowienia.

Tadeusz Kunicki zmarł w 1958 r. W dniu pogrzebu jedną z ulic w Gubinie, przy której mieszkał i przyjmował pacjentów, przemianowano na ulicę jego imienia. 5 kwietnia 1986 r. nadano nowo wybudowanej Przychodni Specjalistycznej imię "Doktora Tadeusza Łukasza Kunickiego". Podczas tej uroczystości syn Stanisław odsłonił pamiątkową tablicę z wizerunkiem patrona oraz jego cytatem: *Ale ja odczuwałem i sam przeżywałem cudze nieszczęścia, ból, okrywałem rany, współczułem z bliźnim serdecznie. – Dr T. Kunicki 1996-1958.*

W księdze zasłużonych ludzi miasta Gubina, zawierającej dotychczas tylko 11 nazwisk, imię dr Kunickiego jest na drugim miejscu.

Jego droga życiowa może być dla innych symbolem zwycięstwa wzniosłych ideałów, nieodzownych w służbie zdrowia, które winny być pielęgnowane, by w obecnych trudnych latach nie zostały zepchnięte na margines życia społecznego.

Zróbmy wszystko w naszym Kraju, aby era Judymów nie przeszła bezpowrotnie do historii.

LISTY DO REDAKCJI

Julian Ziobrowski

Kroroszyn

W nr 1 "Głosu Kresowian", wydawanego przez Kresowy Ruch Patriotyczny, w artykule pt. "Sprawiedliwi w czasach rzezi i pożogi" na str. 20 widnieje nazwisko Ukraińca z Czabarówki Wasyla Bodnara.

Nie wiem, kto informował autora opracowania "Petruniu ne ubywaj mene", skąd pochodzą dane o Bodnarze i jego przyjaznym nastawieniu do Polaków. Wasyl Bodnar od po-

czątku okupacji sowieckiej oddany był tej władzy i był na jej usługach do końca, tj. do czasu zamordowania go przez banderowców (UPA) na placu starej szkoły w Czabarówce w 1956 roku.

O Wasylu Bodnarze pisałem w wydawnictwie "Wieś Kresowa Czabarówka i Sąsiedzi" nr 2/1995 r. str. 38.

Prawdą jest, że Wasyl Bodnar dzwonił w cerkwi na alarm (taki był stary zwyczaj alarmów), lecz on nie wiedział co się dzieje i dlaczego ten alarm wszczęto. Ogłoszono alarm, więc poszedł dzwonić!

Prędzej umieściłbym jako przyjaźnie nastawioną do Polaków Łucję Hopę. (Nie wiem, czy było to jej nazwisko czy przezwisko, w Czabarówce znana była jako Hopa lub Hapa⁸). Ona kiedyś w rozmowie na ulicy powiedziała głośno: *I za co tych biednych Polaków mordują* i za te słowa została powieszona na własnej stodole.

Wspomnę o jeszcze jednym Ukraińcu – Semku (Semen?) Dykale. Jego dwaj synowie byli w UPA, a garbata córka służyła za miejscową łączniczkę "Służby Bezpeky". Semko Dykała kilka razy uprzedzał mego ojca: *Wy Ziobrowskij ne noczujte nyni doma*, lecz myślę, że robił to bardziej po to aby mieć w przyszłości świadka, że był "dobrym Ukraińcem" (na wypadek, gdyby po wojnie Polska wróciła do swych dawnych granic) niż z przyjaźni dla Polaków. Był to taki "chłopski filozof".

Jestem zdania, że taki wykaz Ukraińców, którzy rzeczywiście pomogli Polakom przeżyć czy zachować życie, jest potrzebny lecz musi być opracowany z dużą rozważą i rzetelnością, a może przede wszystkim po konsultacji z mieszkańcami danej miejscowości i świadkami tamtych wydarzeń.

Od Redakcji:

W związku z listem p. J. Ziobrowskiego podajemy odnośny tekst z periodyku Związku Ekspatriowanych z Czabarówki nr 2 str. 38.

W lutym 1944 r. (prawdopodobnie 2.02) wydarzył się wypadek, który w poważnym stopniu zaważył na późniejszych losach ludności polskiej. W tym dniu, we wczesnych godzinach wieczornych miałem wartę w swoim rejonie wsi. W późniejszych godzinach, może to była godz. 10-11 wartę mieli mój ojciec Jan Ziobrowski i wuj Ferdynand Hołubowicz. W pewnym momencie wujek wszedł do domu aby się ciepiej ubrać, a ojciec poszedł sprawdzić, czy spokojnie jest u szwagra (Franciszka Hołubowicza), który mieszkał za torem kolejowym.

Gdy zbliżał się do torów zobaczył trzech jeźdźców krążących wokół domu. Zaczął uderzać szpadłem po szynie i wołać. W tym czasie wybiegł z domu wujek i obaj wszczęli larum.

⁸ Hapa w j. ukraińskim jest odpowiednikiem imienia Agata. (Przyp. Red.).

Zaczęli gromadzić się ludzie, a Bodnar ("Krywyj") pobiegł do cerkwi i zaczął dzwonić na alarm. Zebrani Polacy i Ukraińcy nie wiedzieli co się dzieje. Widzieli jedynie, że w kierunku kolonii znajdują się jakieś pojazdy, które zawracają. Konny zwiadowca przejechał polami koło Godziszka i wyszedł na skrzyżowanie dróg – linii kolejowej i szosy. Widoczne było, że szukają drogi aby ominąć wieś.

Ponieważ innej drogi nie było, wysłali do zgromadzonych ludzi delegata z zapewnieniem, że nikomu we wsi z ich strony nic nie grozi i proszą o przepuszczenie ich. Jadą do cygańskich lasów, a to jest najkrótsza droga.

Nikt nie wiedział kim są ci ludzie, a zatrzymać ich siłą nie było można. Zebrało się więc mnóstwo ludzi przy skrzyżowaniu szosy z drogą do Liczkowiec. Ludzie stali na łące, na działce szkolnej, na starym cmentarzu, a także przy remizie strażackiej i cerkwi. Wszyscy czekali na to co się stanie.

Zbliżyło się 17 pojazdów pełnych ludzi, ostatnim była taczanka z obsługą (7 mężczyzn i woźnica). Było też kilku konnych (jedni twierdzili, że konnych było 5, inni, że 8, a nawet więcej niż 10-ciu).

Ojciec mój stał na szosie (chciał zobaczyć kim są nieznajomi). Podszedł do niego człowiek z konwoju i kazał prowadzić przez wieś. Ojciec na to, że jest stary i kulawy i trudno mu to zrobić. Wybrali więc z tłumu p. Rasławskiego i kazali się prowadzić. Po przejściu kilkuset metrów, gdy zabudowa wsi stała się gęsta p. Rasławski uciekł.

Kawalkada pojechała dalej i zatrzymała się na odpoczynek w Słobudce. Tam dopiero okazało się, że podejrzenia nasze były słuszne. Byli to banderowcy.

O Czabarówce myśleli, że wieś jest zorganizowana, więc bali się, a w Słobudce poczuli się bezpiecznie. "Odpoczynek" rozpoczęli od wymordowania polskich rodzin i tych, którzy do tej miejscowości – w czasie ich pobytu – wjechali.

PS. Do tzw. Istriebitielnego Batalionu wcielano również starsze roczniki Polaków oraz Ukraińców. Niektórzy z nich współpracowali równocześnie z UPA, lecz byli i tacy jak Petro Mikołajew, który nie poddał się namowom i dlatego zginął. Zamordowany przez banderowców w łóżku, kiedy odpoczywał po służbie. (s. 42)

Lista ofiarodawców na budowę i wyposażenie kościoła p.w. św. Anny w SKAŁACIE

1. Lilia Dąmbrowska – Wrocław 153.- zł
2. Jan Mróz – Katowice..... 200.- zł

-
- 3. Stefan Müller – Wrocław 200.- zł
 - 4. Tadeusz Ostrowski – Nowe Miasteczko 50.- zł
 - 5. Tadeusz Paszkowski z Panasówki – Głogów100.- zł
 - 6. Izabela Teresińska – Poznań..... 20.- zł
 - 7. M. Wojtkowie – Gliwice 200.- zł
 - 8. Waclaw Wyrozumski – Warszawa 100.- zł

Komunikat

Uprzejmie informujemy dawnych mieszkańców Skałatu i Ziemi Skałackiej oraz wszystkich innych ofiarodawców, że w okresie 1.7.2002 do 31.12.2003 wpłynęły na konto bankowe Klubu "Podole" oraz przyjęto w formie wpłat gotówkowych ofiary na budowę i wyposażenie kościoła p.w. św. Anny w Skałacie następujące ofiary:

| | |
|------------------------|------------|
| na konto bankowe | 3.708.- zł |
| gotówką..... | 873.- zł |
| Razem..... | 4.581.- zł |

Imienne listy ofiarodawców zamieszczono:

| | |
|--------------------------------|------------|
| w "Głosach Podolan" nr 59..... | 2.400.- zł |
| nr 61..... | 1.158.- zł |
| nr 63..... | 1.023.- zł |
| Razem..... | 4.581.- zł |

Zebrane ofiary przekazano proboszczowi parafii św. Anny w Skałacie ks. Romanowi Stadnikowi w dwóch ratach:

| | |
|---------------------|------------|
| dnia 11.6.2003..... | 2.600.- zł |
| dnia 17.2.2004..... | 1.981.- zł |
| Razem..... | 4.581.- zł |

Nowo zbudowany kościół św. Anny jest, jak dawniej, piękną dominantą architektoniczną w panoramie Skałatu, ale wymaga jeszcze wykończenia wnętrza i otoczenia oraz wyposażenia. Kontynuujemy więc zbiórkę ofiar, zachęcając do korzystania z konta bankowego Klubu "Podole" z jego zmienionym numerem:

69 1020 1068 0000 1902 0000 3046

Antoni Gołębiowski

Skałat 16.02.04.

Wkroczyliśmy w Rok Pański 2004, stawiamy sobie pytanie, jakim on będzie, co przyniesie? Odpowiedź na te pytania i wiele innych daje nam św. Paweł ...*żyjemy dla Pana (Chrystusa)*...(Rz 14, 7-9), a żyć dla Niego to spełniać Jego przykazania. W więc dziękujemy za wszelkie dobro jakie doznaliśmy od Niego, w czym jest i Wasz niemały udział w tych pracach przy budowie kościoła w Skałacie.

W ubiegłym roku udało się nam zrobić ogrzewanie w kościele, co pomaga nam w modlitwie nie tylko dla osób starszych, co jest nie mało ważne, ale także dla dzieci, bo mogą się czuć dobrze. Zrobiliśmy stałą posadzkę, co upiększyło świątynię. Te i inne prace udało się zrobić zawdzięczając Waszej pomocy. Jednak prace wykończeniowe nie są jeszcze zakończone, wierzymy, że będziemy mogli liczyć na Waszą pomoc.

Dlatego jeszcze raz dziękujemy za wszelką pomoc i polecamy się pamięci. Ze swej strony zapewniamy o pamięci w modlitwie, prosząc Boga o błogosławieństwo i wszelkie potrzebne łaski dla dobroczyńców naszej parafii.

Z wyrazami szacunku

parafianie oraz proboszcz
parafii św. Anny w Skałacie

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Wspomnienie

o śp. Mikołaju (Koli) TOMASZEWSKIM

Urodził się w 1919 roku w Kamieńcu Podolskim, skąd Jego Matce udało się uciec z niemowlęciem przez Zbrucz do Polski. Po pewnym czasie dotarł do nich także Ojciec. Osiedlili się w Czortkowie.

Tu Kola był uczniem Szkoły Powszechnej im. Jana III Sobieskiego, a później Gimnazjum i Liceum im. J. Słowackiego oraz harcerzem Męskiej Drużyny gimnazjalnej.

Podczas nasilonych aresztowań po "powstaniu czortkowskim" w styczniu i lutym 1940 r. Kola został również aresztowany przez NKWD i wywieziony w głąb Rosji. Z łagru udało mu się dotrzeć do Armii Polskiej i opuścić ZSRR z żołnierzami gen. Andersa.

Podczas wojny służył w RAF-ie czortkowskimi kolegami (m.in. z nieżyjącymi już Z. Żeglickim, T. Grądalskim, K. Plecanem i L. Jankowskim).

Po wojnie założył rodzinę i pozostał na emigracji.

Polskę odwiedzał kilkakrotnie, mieszkała tu Jego siostra. Przed trzema laty spędził z żoną Angielką także kilka dni w Warszawie. Spotkaliśmy się wówczas po raz pierwszy po wojnie w małym koleżeńskim gronie, co było dla Koli wielkim przeżyciem - "zanurzeniem się w czortkowski świat".

Pokazaliśmy im stolicę ale przede wszystkim wspominaliśmy naszych kolegów, profesorów i szczęśliwe szkolne czasy.

Po dziesiątkach lat rozpoznałam Go natychmiast w tłumie na dworcu lotniczym i odnalazłam takiego, jakiego zapamiętałam ze szkoły – łagodnego, życzliwego, uprzejmego kolegę, który mimo trudnych i burzliwych przeżyć życiowych zachował pogodę wewnętrzną i uśmiech dla drugiego człowieka. Był już wtedy poważnie chory.

Zmarł 10 lutego 2004 r. i pozostał w obcej ziemi.

Żegnam Cię Drogi Kola z serdecznym żalem
w imieniu wspólnych koleżanek i kolegów z Czortkowa

Irka Kotowicz